



GRZEGORZ FLAKIERSKI*

Knockout [fragment powieści]¹

Knockout to fabularyzowana biografia Szapsela Rotholca, polskiego boksera pochodzenia żydowskiego, który przetrwał w getcie warszawskim jako członek żydowskiej policji porządkowej. Po wojnie stanął przed sądem obywatelskim, oskarżony przez wspólnotę o nieetyczne zachowanie oraz brutalne traktowanie Żydów w getcie. Wyemigrował do Kanady, gdzie zmarł w roku 1996. Powieść rozpoczyna się w roku 1934, gdy Rotholc zdobywa brązowy medal na Mistrzostwach Europy w Budapeszcie, i opowiada jego dalsze losy w przedwojennej Polsce, warszawskim getcie, powojennej Warszawie, aż do schyłku życia w Kanadzie.

Wszyscy uważali, że brązowy medal na Mistrzostwach Europy w Budapeszcie to wielki sukces. Wszyscy – oprócz mnie. Bo jak mawiał Trener: „Trzeba spojrzeć na całość”. Miał na myśli to, że jedne zawody nie decydują o pozycji sportowca. I to prawda. Z tym że akurat on też sądził, że brąz to sukces. „Medal to jednak zawsze medal” – mówił. Niby tak, ale przecież są medale gorsze i lepsze, nie? Na przykład srebrny jest lepszy od brązowego. A złoty jest jeszcze lepszy. No ale dobra, medal to medal, niech mu będzie.

Jak by nie było, to ja medali miałem sporo. Właściwie to bardzo dużo; i prawie wszystkie złote. Zawsze pierwsze miejsce, zawsze na najwyższym podium. Mistrz Polski. Wicemistrz Polski. I to nie koniec. Piętnaście zwycięstw na szesnaście startów w reprezentacji kraju. W sumie miałem pewnie ze sto wygranych walk. A nie były to byle jakie walki. O nie. W tamtych czasach wszystko było strasznie upolitycznione. Na przykład pokonanie Niemca nie było po prostu pokonaniem niemieckiego zawodnika. Pamiętam jeden nagłówek: „Rotholc

* Grzegorz Flakerski – ur. w 1956 roku w Warszawie, mieszka w Szwecji od 1969 roku. Ukończył studia humanistyczne na Uniwersytecie w Sztokholmie. Pisarz, dziennikarz, współpracuje z wieloma gazetami i czasopismami.

¹ Grzegorz Flakerski, *Knockout: roman* (Kramfors: Alyasiri, 2014), 28–34.

triumfuje nad swastyką”. Rozumiecie? To było po moim pierwszym zwycięstwie nad niemieckim bokserem, w Poznaniu w 1934, niedługo przed mistrzostwami Europy.

Nagłówek był ze „Sportcajtungu”, czytali go wszyscy Żydzi zainteresowani sportem. A jeszcze inny nagłówek brzmiał: „Rotholc pokonuje nazistowskiego boksera we Wrocławiu”. Ja tam nie wiem, czy ten Niemiec był nazistą, ale fakt faktem: skoro reprezentował nazistowskie Niemcy, to pokonanie Niemca równało się pokonaniu nazistowskiej ideologii. Czyli, mówiąc inaczej, udowadniałem w ringu, że cały ten ich antysemityzm jest gównem wart. A przy okazji, że ich pretensje do Polski to też stek bzdur. Tak to widzieli ludzie, i tak to widziałem ja. Pamiętam nawet, że w Poznaniu ktoś z widowni wydarł się tak, że było słychać na całą halę: „Bij go, Rotholc, bij po swastyce!”. Niemcy nosili swastykę na piersi, więc nie była to akurat najlepsza rada. Ale dobrze zrozumiałem, co miał na myśli. Zresztą zaraz cała widownia zaczęła gwizdać, bić brawo i też skandować „Bij, Rotholc, bij po swastyce!”. To była duża odpowiedzialność, ale co robić, takie czasy. I nie chodziło tylko o niemieckich nazistów; wszystko było znacznie bardziej skomplikowane.

Pojechaliśmy kiedyś do USA na mecz, o którym wiele pisano w gazetach. Tam w Chicago Polska miała się pokazać amerykańskiej publice – jak to się wtedy mówiło: „zaznaczyć miejsce Polski na mapie świata” i wzmocnić poczucie godności w przedstawicielach licznej polonii chicagowskiej. W Polsce oczekiwania były więc ogromne, a w USA, ze strony mieszkających tam Polaków, chyba jeszcze większe. Wynik meczu był więc jak kubeł zimnej wody: wszyscy przegrali. Tylko nie Rotholc. Ale co tu gadać, to było straszne. Amerykanie zupełnie zdeklasowali Polaków; ba! nasi dostali takie baty, że nawet nie chciałem na to patrzeć. Katastrofa. Amerykańska publiczność śmiała się z polskich bokserów. Nie rozumiałem wtedy, co oni krzyczeli, ale bez wątpienia nie były to pochwały. Tylko ze mnie się nikt nie śmiał. Ze mnie nikt nie szydził. Ten Amerykanin, z którym walczyłem – to zupełnie nie do wiary, ale naprawdę nie pamiętam, jak on się nazywał, a kiedyś przecież pamiętałem nazwiska wszystkich moich przeciwników, teraz z trudem przypominam sobie choć jedno – w każdym razie ten Amerykanin był dosyć wysoki, miał dobry zasięg rąk, był energiczny i natarczywy, ale zbyt powolny. Zła praca nóg, nie trzymał dobrze gardy. Ja tylko robiłem uniki i trafiałem go cały czas szybkimi prostymi, a gdy przechodziłem do kontrataku, był całkiem bezbronny. Wygrałem zdecydowanie na punkty. Publiczność osłupiała, kilka osób dało upust niezadowoleniu, kilka nieśmiało biło brawo, trochę jakby z grzeczności, ale poza tym na sali odbijała się głucha, pewna zdziwienia cisza. Nawet polscy kibice – a było ich całkiem sporo, to przecież Chicago – też siedzieli cicho. Bo nie mogli w ogóle zrozumieć, co ten Żydek robi w polskich barwach, i jak do jasnej cholery mógł pokonać Amerykanina. Nic nie rozumieli, i było to nawet prawie śmieszne. Ale dla mnie była to przede wszystkim wielka chwila: jedyny zwycięzca, jedyny, który pokonał Amerykanina. Ameryko, myślałem sobie, zapamiętaj nazwisko Rotholc. Ale ja byłem wtedy głupi! I młody, a kto wtedy mógł wiedzieć, że stanie się to, co się stało? Na pewno nie ja, w ogóle chyba nikt.

W „Sportcajtung” mieli mnóstwo różnych plebiscytów. „Dziesięciu najlepszych żydowskich sportowców w Polsce” – ten wygrałem w 1936 roku. Zdecydowanie. „Najlepszy żydowski bokser” wygrałem dwa razy i raz byłem na drugim miejscu, to było w 1938. Czy ja uważam, że Rozenblum był lepszy? Nie wiem, ale może wygrałem tyle razy, że była już kolej na kogoś innego. I potem Rozenblumowi nie powiodło się najlepiej, nie poradził sobie. Ale to ja byłem prawdziwym żydowskim bohaterem. To ja reprezentowałem żydowską dumę i godność. To mnie kochała żydowska ulica. To mnie kochali Żydzi. Tak było. Stałem się *wzorem*, mimo że byłem tylko prostym bokserem. Albo może właśnie dlatego. Żydowska inteligencja istniała od zawsze. Ale ci wszyscy profesorowie, prawnicy, pisarze i mędrcy wszelkiego rodzaju, brodac, zgarbieni wujaszkwowie, którzy patrzyli na nas z góry z tych swoich zakurzonych pokoi wypełnionymi książkami aż po sufit i od których biła niepojęta mądrość wespół z nietęgim zdrowiem – oni nie byli dobrym wzorem na tamte czasy. Oni byli raczej gotową karykaturą Żyda – leniucha i pasożyta. *Inteligenta*. Bokser – *siłacz* – był zaś jego przeciwieństwem. Takiego wzoru trzeba było wtedy, a ja byłem akurat pod ręką.

Nie mogę powiedzieć, żebym czuł się w tej roli specjalnie dobrze. Nie chciałem wcale być żadnym wzorem, chciałem być tylko bokserem. Ale nie bardzo mogłem coś z tym zrobić, a zresztą tak całkiem szczerze, to nie było to całkiem nieprzyjemne. Czułem się trochę jak Samson. I z ręką na sercu, komu by się to nie podobało? Marzenie każdego szczeniaka.

Ale tu chodziło o jeszcze więcej. Największą polską gazetą sportową był „Przegląd Sportowy”. Założony już w 1921 roku, wychodził codziennie od 1926. Możecie pojąć? Gazeta prowadziła wśród czytelników coroczny plebiscyt na najpopularniejszego sportowca albo sportsmenkę w kraju. Głosowali kibice w całej Polsce, to była duża sprawa, takie trochę sportowe wydarzenie roku. Podobno dziś gazeta dalej istnieje i podobno dalej prowadzą plebiscyt. No więc wszyscy czekali z zapartym tchem na wynik, ludzie snuli domysły, spekulowali, robili zakłady, stawiając czasem nawet duże pieniądze. Co roku pojawiały się też oskarżenia o oszustwa i przekupstwo. Tak było to ważne i wielkie. Z kolei faworyci udawali obojętność, że niby nic ich to nie obchodzi. Ale i tak każdy wiedział, że grali. Niejeden z nich dałby sobie rękę uciąć, żeby wygrać. I ja się wcale temu nie dziwię. A nie byle kto walczył o tytuł: Walasiewicz – wiecie, ta, co to była ten, czy jak to tam było; Kusociński, ten biegacz; Jadwiga Jędrzejewska, co to grywała w tenisa ze szwedzkim królem, ten narciarz Marusiewicz. Same światowe gwiazdy. Mordercza konkurencja. No i przede wszystkim: wszyscy byli *prawdziwymi* Polakami.

Pewnego razu uplasowałem się na szóstym miejscu. Innym razem wybrali mnie jako dziesiątego. To też nie było źle. Szczególnie dla Żyda. OK, była też Wajsówna, i to kilka razy. Ale ja myślę, że o niej w *ten sposób* nie myślano. No i oczywiście Alex Erlich. On był na liście tego samego roku, gdy ja uplasowałem się jako dziesiąty. Ale na Boga, on grał w tenisa stołowego! To znaczy w ping-ponga. To było prawie jak szachy. A ja byłem lubiany i doceniany także przez polską publikę. Szczególnie za moje zwycięstwa w reprezentacji, a przede wszystkim

wtedy w Chicago. To był mój wkład w polski honor – to wyrażenie zawsze mnie prześladowało – i w narodową dumę. Dla jednych byłem modelem zasymilowanego Żyda, dla innych wzorowym przedstawicielem wzorowego społeczeństwa wieloetnicznego, ale myślę, że wielu w ogóle to wszystko nie obchodziło i widzieli we mnie po prostu dobrego boksera.

Ale jak już mówiłem, to były inne czasy, wszystko było dużo bardziej skomplikowane. Bo jednak wielu Polakom nie w smak były moje sukcesy. Byli wśród nich antysemita, którzy najzwyczajniej nie chcieli Żydów w Polsce, niezależnie – dobrych czy złych bokserów. Ale ostatecznie takich było chyba niewiele. Jasne, że nie wszyscy się cieszyli, gdy kładłem Polaków na deski, a przecież robiłem to co rusz. Byli i tacy, co uważali, że Żyd nie powinien reprezentować Polski, bo Polskę reprezentować mogą tylko Polacy. Nawet niektórzy Żydzi tak myśleli. Dlaczego Żyd ma reprezentować antysemitki kraj, pytali? A to dlatego, że tu mieszkamy i nie mamy żadnego innego kraju do reprezentowania – to powinno im wystarczyć. Ale nie wystarczało. Ani jednym, ani drugim. A przecież to tylko sport, to boks, i tyle. Ale nie. Nie było dobrych odpowiedzi; zresztą dobrych pytań też nie. Dzisiaj się mówi: sport to nie polityka. Bzdura! Bzdura i tyle. A już na pewno, jeśli chodzi o tamte czasy. Wtedy było dużo polityki, wszystko było polityką.

Dzisiaj zresztą też.

*Ze szwedzkiego przetłumaczył Grzegorz Flakerski
Tłumaczenie przejrzał Paweł Wolski*

Summary

Knockout is a biographical novel telling a story of a Polish-Jewish boxer Szapsel Rotholc who survived WWII in Warsaw ghetto by serving in Jewish police. After the war he was accused by the Jewish collegial court of unbecoming behavior and brutality. He emigrated to Canada where he died in 1996. The novel begins in 1934 when he wins brown medal during European Championship in Budapest and continues throughout his life in pre-war Poland, Warsaw ghetto, after-war Warsaw until his last years in Canada.

Grzegorz Flakerski, born 1956 in Warsaw, lives in Sweden since 1969. He graduated from University of Stockholm (human studies). Writer, journalist, he collaborates with various newspapers and magazines.

PROSIMY O CYTOWANIE TEGO ARTYKUŁU JAKO:

Grzegorz Flakerski, „*Knockout* [fragment powieści]”, *Autobiografia. Literatura. Kultura. Media* 2 (2017), 9: 121–124. DOI: 10.18276/au.2017.2.9-10